

Zola nieznanym

Emil Zola: „Spadkobiercy pana Rabourdin“
w Państwowym Teatrze Nowym

KAZDEGO kto rozmówiony jest w powieściach Zoli, w jego drapieżnym piórze, tak ostro występującym w obronie krzywdzonych i tak bezkompromisowo walczącym z podłością mi kapitalistów, ucieleszyła wiadomość o tym, że „odkryto“ jego niegraną nigdy sztukę teatralną i że będzie ją można zobaczyć na warszawskiej scenie. Czytelnicy cyklu powieściowego o rodzinach Rougon - Macquartów spodziewali się, że znajdą tam postacie podobne do bohaterów tych powieści.

Widzów teatralnych spotkał, niestety, zawód. Sztuka „Spadkobiercy pana Rabourdin“ to dowcip napisany przez Zolę w przystępie dobrego humoru pod wpływem lektury Mollera lub bliższych od jego sztuk komedijek o oszustach oszukanych. Dowcip, do którego natchnienie dała zapewne wielkiemu pisarzowi pełna śmiesznośćek drobnomieszczkańska prowincja francuska.

Ta prowincja, jakież to niewyczerpane źródło dla komediopisarzy, autorów fars teatralnych i filmowych. Film francuski ma wiele takich szczerze zabawnych pozycji, jak „Tajemnica nocy wigilijnej“, czy ostatnio rozśmieszający do łez „Skandal w Clochemerle“.

TEATR Nowy, biorąc na warsztat niewybredną historyjkę o tym, jak to rzekomo bogaty pan Rabourdin wodzi za nos swych spadkobierców, utrzymując ich w złudzeniu jakoby posiadał majątek i jeszcze sam ich nacłaga na pieniądze, powinien był pamiętać o tym jednym wielkim atucie, jakim mogło być ukazanie śmiesznośćek owej prowincji francuskiej. Niestety, nie uczynił tego. Sztuka rozgrywa się w jakimś bezbarwnym pod względem lokalnym środowisku i mimo że aktorzy i aktorki mają stroje z końca ubiegłego stulecia, nic nie wskazuje w ich sposobie bycia na tę właśnie epokę.

Cała farsowość reżyserii polega tu na tak szybkim wyrzucaniu słów przez większość aktorów (zwłaszcza przez główny motor działania Karoline gra na przez Krystynę Possart) że widz z lękiem patrzy, czy się aby nie udła-

wia. Ale wesołości na scenie nie osiąga się przez jakąś szaloną galopadę. Wiemy z doświadczenia, że najsilniej śmieją anegdoty, podawane niemal na ponuro. Sposób więc jest chybiony.

Błaha bez wątpienia sztuczka wielkiego pisarza byłaby może do uratowania dla teatru, głyby grał ją aktorzy wyjątkowo twórcy w wynajdywaniu sposobów wywoływania śmiechu. Tu jednak przy poprawności gry artystów, których specjalnością bynajmniej nie jest humor, eksperyment trzeba uważać za raczej nieudany. Pana Rabourdin, w gruncie rzeczy sprytnego oszusta, grał sympatyczny aktor Aleksander Michałowski, jak pocziwego dziadunia z „Maszeńki“ i nie jego to wina, bo po prostu ta rola nie harmonizuje z jego rodzajem talentu. Niektórzy artyści, jak dawno nie widziana a bardzo pożądana na scenie Irena Grywińska (jako prowincjonalna kokietka) usiłowała ująć swe role komediowo, inni, jak komiczna w swoim rodzaju, ale wypadająca również z ram całości Han na Paryslewiz (w roli plotkarki małomiasteczkowej) podchodzili do roli farsowo. Wszystko to wytwarzało chaos, w którym jak w kalejdoskopie kręcili się Marian Friedman w roli staruszka, udającego młodzika Mikołaj Wołyńczyk jako chciwy lekarz, Jan Nowicki w roli lichwiarza Józef Stylo, jako prowincjonalny urodziciel i Urszula Halacińska jako panna na wydaniu.

Szkoda doprawdy wysiłków znakomitego tłumacza Adama Mauersbergera, który przełożył tę błaźnię i wysiłków teatru, który ją wystawił.

(kar. beyl.)